

ROZMOWA Z
PIOTR POLAKIEM*
aktorem

DAWID DRÓŹDŹ: Skąd ta blizna?
PIOTR POLAK: Między oczami? Spostrzegawczy jesteś.

Miałem osiem lat, ojciec oddał swój samochód treningowy do przeglądu, w zastępstwie dostaliśmy malucha. Jechaliśmy gdzieś we dwóch, zatrzymaliśmy się na chwilę, ojciec wyszedł do sklepu. Odpiąłem pas i zacząłem bawić się klamką. Przy naszym domu jest ostry lewoskręt. Ojciec w niego wszedł i nagle zobaczył, że zniknąłem. Wypadłem z auta, bo – jak się okazało – nie domknąłem drzwi. Moja вина.

Tak myślałem, że za tą blizną może kryć się jakaś barwna historia. Wychowywałeś się w końcu w domu z kierowcą rajdowym.

– Tata lubił szybką jazdę. Jak spadł pierwszy śnieg, to dostawał hopla. Wsiadał za kółko i driftował. A ja siedziałem obok. Ze dwa razy zabrałem auto, jak nie było go w domu. Skończyło się nie najlepiej; totalnie rozwalilem koło. Później pokazał mi, jak się zwraca na ręcznym, żeby już nie robił tego w błędny sposób.

Ojciec jeździł na rajdy we wschodniej Europie, ale miał też okazje jeździć na Zachód. Przywoził z zagranicy zabawki, miałem jednorazowe pieluszki, co było wtedy czymś wyjątkowym w Polsce. Miał wielu przyjaciół z różnych stron. Uwielbiałem ten klimat, kiedy czasami wstawiałem rano, a dom był nagle pełen znajomych. Tłum i chaos.

Pod koniec lat 80. tata porzucił rajdy i zajął się prowadzeniem kafilarni, którą w latach 30. założył mój pradziadek. Panowała w tym świecie jakaś artystyczna aura. Rodzice dużo mówili o tym, jak najlepiej ułożyć kafle, żeby piec wyszedł najpiękniej. Lubili się zachwycać na głos.

W Wiedniu można było kupić najlepszą glazurę do malowania kafli, więc tata brał mnie i moją siostrę Jaśminę ze sobą pod pretekstem wyjazdu do Ikea. W nocy układał glazurę na tylnym siedzeniu, na niej ścielił nam posłanie. Przekraczaliśmy granicę, kiedy z Jaśminą spaliliśmy.

Wychowywałeś się w Nowym Targu.

– To było konserwatywne miejsce. Jestem nieślubnym dzieckiem i chrzest musiałem mieć w pobliskim Gronkowie, bo w Nowym Targu nie chcieli mi dać. Mam wrażenie, że taki klimat powodował, iż moi rodzice byli czarnymi owcami w mieście albo przynajmniej lubili tak się czuć. Ja na pewno tak to interpretowałem.

Podobno podczas twojej pierwszej spowiedzi proboszcz powiedział: „Idź, przekaż ojcu, że wasza rodzina jest lewa”.

– Pamiętam, że ojciec strasznie się wkurzył. Wsiadł w samochód i pojechał do proboszcza. Nie byłem przy tej rozmowie, ale domyślałem się, że go mocno opierdzielił. Jako dziecko byłem tym podjarany. Pomyślałem: „Wow, mam supertatę, który ustawa do pionu innych dorosłych”. Podobnych sytuacji było więcej. Kiedyś ksiądz kazał nam na kazaniu klęczeć w kacie, bo coś przeskrobaliśmy. Ojciec wparował na plebanię i powiedział, że nie zgadza się, aby ksiądz kazał mi robić takie rzeczy.

Rodzice zawsze głosowali na SLD. Nie wiem, skąd się to wzięło. Za mały byłem. Pamiętam, jak rodzice, oglądając „Dziennik Telewizyjny”, czasami wybuchali śmiechem z powodu propagandy, którą tam wciskali. W domu słowo „komuniści” było używane jako

Piotr Polak dla „Wyborczej”

AKTORSTWO NIE BYŁO MOIM MARZENIEM

Na co dzień zamykamy się w swoich bańkach. Nie mamy styczności z ludźmi o innych poglądach. Czujemy się odpychani przez drugą stronę, odczuwamy wrogość.

żart i było synonimem głupoty. Dość wcześnie zauważyłem, że lewica i komunizm to nie to samo.

Kiedyś poszedłem do kolegi po szkole i jego mama „zażartowała”, mówiąc: „Nie wiem, czy chcę cię wpuścić do domu, skoro twój rodzice głosują na komunistów”. Zdałem sobie sprawę, że o tym się mówi, ale dla mnie to był raczej powód do dumy. Nie chodziliśmy do kościoła. Pamiętam, jak koledzy brata wpadali do nas w niedzielę, ściemniając w domu, że idą na mszę. Wtedy nabijałem się z religii, teraz mam szacunek do ludzi wierzących. Ale mojego syna na religię nie posyłam.

A jak to się stało, że chodziłeś do przedszkola w Chicago?

– W Chicago mieszka moja babcia i rodzeństwo mamy. Wyemigrowali w latach 80. Ojciec dorabiał tam na budowie wieżowców. Czasem więc jeździliśmy do Stanów. W 1986 r. zostaliśmy na jakieś pół roku. Mieliśmy wracać do Polski, już jechaliśmy na lotnisko, ale rodzice usłyszeli w tak-sówce, że doszło do katastrofy w Czarnobylu. W obawie przed promieniowaniem zostaliśmy w Chicago.

Dobrze pamiętam przedszkole, do którego chodziłem. To było cudowne przeżycie. Pierwszy raz miałem do czynienia z dziećmi innego pochodzenia i innej rasy. Miałem wrażenie, że jestem na innej planecie. Podobno przez pierwszy tydzień nie odezwałem się ani słowem. Później porozumiewałem się już swobodnie. W skrócie: przez Czarnobyl nauczyłem się mówić perfekcyjnie po angielsku.

Po powrocie do Polski poszedłeś do szkoły muzycznej.

Lubię być na uboczu, siedzieć w domu, nawet nie jestem aktywny na Instagramie

– Byłem tam przez chwilę. Niestety, moja mama spełniała moje prośby. Kiedy nie chciałem iść do przedszkola, to nie szedłem. Kiedy nie podobało mi się granie gamy, to mnie wypisała ze szkoły muzycznej. Teraz żałuję, że rodzice mnie nie docisnęli. Umiałbym czytać z nut.

Dawali ci dużo wolności?

– Chyba nie nazwałbym tego wolnością. Ale tak, często rozmawialiśmy szczerze na wiele tematów. Nie miałem nawet okresu buntu, bo wszystkie problemy przegadywaliśmy na bieżąco.

Taka otwartość procentuje później w aktorstwie?

– Nie do końca. Część problemów miałem przegadanych, ale okazało się, że jest jeszcze w mojej głowie nieufornowana strefa, której nie wyniosłem z domu i nad którą musiałem pracować. Parę razy byłem gotowy zrezygnować ze szkoły aktorskiej w Krakowie. Dużo czasu zajęło mi dojście do tego, aby traktować ten zawód poważnie. Uciekałem od odpowiedzialności, myślałem, że aktorstwo polega tylko na wolności i robieniu tego, co się czuje. Miałem problem z systematycznością.

Nikt nie nauczył mnie pracy w grupie. Tata samodzielnie prowadził kafilarnię, wcześniej był rajdowcem, czyli wszystko robił i chciał robić samodzielnie. Moja mama też jest indywidualistką, zajęła się w pełni naszym wychowaniem i zawsze w nas ten indywidualizm pielęgnowała. Pozdrawiam cię, mam!

W szkole aktorskiej musiałem nauczyć się współdziałać.

Jak się tego nauczyłeś?

– Poprzez błędy, których popełnianie na studiach bywa fajne. Nie byłem dobrym studentem. Jak ktoś próbował do mnie dotrzeć, to automatycznie miałem potrzebę zepsucia wszystkiego. Tak głupio, na złość. Byłem przekonany, że wiem lepiej.

W końcu dostałem kilka razy w łeb – oczywiście nie dosłownie – pierwszy raz od Anny Polony, która w pewnym momencie miała dość i powiedziała, że się do niczego nie nadaje. Najpierw się obraziłem, potem przestraszyłem się, że wylecę ze studiów. Przetrawiałem. W następnym semestrze znowu miałem zajęcia z Anną Polony, z którą nagle złapałem wspólny flow. Złamała we mnie to, co musiało być złamane. Potem nauczyłem się szybko wyciągać wnioski i przede wszystkim przyznawać do błędów.

Twój brat, który mieszka w Londynie, jest oświetleniowcem, a siostra Jaśmina także jest aktorką. Co wy się tak uparliście na to kino?

– Zaryzykuję stwierdzenie, że wszyscy wybraliśmy te zawody z lenistwa. Mieliśmy przeświadczenie, że to fajna branża, bo nie trzeba siedzieć w biurze od 8 do 16. Myliłem się. Okazało się, że wcale nie jest tak łatwo.

Zawsze mieliśmy wspólny kontakt. Brat był zajarany muzyką, pomagał współtworzyć wspólny festiwal hardcore'owo-punkowy Ferment, na którym występowały kapele z całego świata. Grał na gitarze, czasem przygrywałem mu na pianinie. Inspirowaliśmy się nawzajem. Brat podsuwał mi punkowe zespoły, a ja puszczałem Jaśminie filmy. Ostatnio powiedziała mi, że niechcący ją trochę strauumatyzowałem. Kiedy miała osiem lat, puściłem jej „Jeźdźca bez głowy” Tima Burtona. Jak wróciłem, to widziałem, że była wstrząśnięta. Trochę przesadziłem.

Aktorstwo nie było nawet moim marzeniem. W ogóle nie interesowałem się polskim kinem i teatrem. Wychowałem się na amerykańskiej kulturze. Kiedy już podjąłem decyzję, że zdaję na aktorstwo, mama wycinała mi z gazet „teatralne ciekawostki”, wywiady z ludźmi teatru, np. rozmowy z Krystianem Lupą w „Wyborczej”. Czytałem to, nie mając zielonego pojęcia, who is who. W szkole teatralnej spośród wykładowców znałem tylko Jerzego Stuhra.



FOT. MACIEK JAZWIECKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Jesteście do siebie podobni z Jaśminą?

– Jaśmina jest bardziej światowa. Interesuje się wieloma rzeczami. Tak jak ja się zatrzymałem na bluesie i grunge'u, tak ona cały czas szuka jakiegoś nowego zespołu np. z Turkmenistanu. Ostatnio była na festiwalu muzycznym w Ugandzie. A ja lubię się wyglupiać, ale później wracam do domu i się chowam. Chyba jestem bardziej płytki. Nie wiem, czy tak jest, ale od niedawna całkiem siebie lubię, więc nie mam z tym problemu. Zaakceptowałem siebie takim, jakim jestem.

Zrobiliśmy kiedyś z Jaśminą spektakl „Polacy wyjaśniają przyszłość” o tym, jak teatr będzie wyglądał za sto lat. Podczas prób cały czas kończyliśmy za siebie zdania. Mamy bardzo fajną więź.

Wiele razy spotykaliście się na scenie. Zdarzyło się wam nawet zagrać parę.

– Jako pierwszy na ten dziwny pomysł wpadł Krzysztof Garbaczewski, który robił w Wałbrzychu spektakl inspirowany „Gwiazdnymi wojnami”. Mieliśmy zagrać Hana Solo i księżniczkę Leię. Niestety nie miałem wtedy czasu tam pojechać.

W „Wyjeżdżamy” Krzysztofa Warlikowskiego na podstawie komedii Hanocha Levina jest scena, w której moja postać dobiera się do postaci granej przez Jaśminę. Podczas prób umieraliśmy ze śmiechu. W pewnym momencie Krzysiek powiedział: „Słuchajcie, pomiędzy wami nie ma żadnej chemii”. Odpowiedzieliśmy: „To dobrze, Krzysztofie!”.

Kiedyś był taki trend, że w rolach kochanków obsadzano prawdziwe pary. W naszym przypadku niektórzy najwyraźniej pomyśleli, że jeśli jesteśmy rodzeństwem, to na scenie będą widoczne jakieś emocje.

Zawsze potrafiłeś stawiać granice?

– Kilka sytuacji w życiu, których doświadczyłem, nie powinno mieć miejsca. Nie powiem ci szczegółów, bo nie chcę psuć humorów w okresie świątecznym. Ale moje pierwsze kroki filmowe

były nieprzyjemne. To nie były duże role i wielkie produkcje, raczej epizody w serialach, ale bardzo się zdziwiłem, jaki tam panuje klimat. Kilka sytuacji mnie przstraszyło. Nie chodzi o przemoc wobec mnie, ale przede wszystkim wobec kobiet na planie.

Na planach panował szowinizm, kobiety, które zazwyczaj pracowały jako charakterystorki albo scenografki, były traktowane przedmiotowo. Czulem, że jako facet jestem automatycznie na lepszej pozycji i mam sztafę z innymi facetami. Wtedy wydawało mi się, że plan filmowy zawsze działa na takich zasadach. Dopiero po kilku latach zobaczyłem, że są też inni ludzie. Ale na początku stwierdziłem, że uciekam do teatru.

Cieszę się, że aktorzy i aktorki zaczynają mieć świadomość, że można reagować. Kibicuję zmianom, które zachodzą. Jestem jednak daleki od oceniania innych. Żyjemy w czasach reakcjonizmu – liczy się to, kto pierwszy wyrazi oburzenie. Wiem, że tego typu sytuacje często nie są czarno-białe. Czytając informację o tym, że ktoś kogoś oskarżył o przemoc, wiem, że nie znam całej prawdy. Mam poczucie, że jako osoba, która nie była świadkiem danych wydarzeń, nie powinienem wyrażać opinii na ten temat publicznie. Fakty opowiedziane przez kogoś nie są jeszcze faktami.

W takim razie nie będę cię pytał o opinię na temat oskarżeń wobec Krystiana Lupy, ale o współpracę z nim. To było trudne przeżycie?

– „Factory 2” to był jeden z najlepszych spektakli, w jakich grałem. Zrobiliśmy go w Starym Teatrze w Krakowie. Próby trwały prawie dwa lata. Wspaniała przygoda. Ten spektakl ukształtował mnie w dużym stopniu jako aktora. Krystian eksperymentował, sprawdzał sam siebie, złamał wtedy wiele własnych zasad i przyzwyczajęń. Odbarczył aktorów ogromnym zaufaniem, pozwolił nam na improwizację, nie trzymaliśmy się sztywno ram. To było inspirujące.

Bywało burzliwie, szczególnie w trakcie grania spektaklu. Wiem, że Krystianowi zależało na tym, abyśmy zrealizowali jego wizję. Podnosił głos, ale nie nazwałbym tego opieprzaniem nas. Mówił głośniej, żeby dosadnie przekazać to, na czym mu zależało.

Później zagrałem u niego jeszcze w spektaklu „Persona. Ciało Simone” w Teatrze Dramatycznym w Warszawie, zastąpiłem Marcina Bosaka. Rozumiem – zwłaszcza w dzisiejszych czasach – reakcje na żywotność Krystiana. Nie wiem, jak było w ostatnich latach, ale moja praca z Krystianem nigdy nie była przemocowa.

Twoje życie zmieniło się po „The Office”? Format stworzony przez brytyjskiego komika Ricky'ego Gervaisa

*Piotr Polak

• Urodził się w 1980 r. w Krakowie, wychował w Nowym Targu. Absolwent PWST w Krakowie. Debiutował w 2004 r. w Teatrze im. Bogusławskiego w Kaliszu. Od 2011 r. aktor Nowego Teatru w Warszawie. Współpracował m.in. z Krzysztofem Warlikowskim, Krystianem Lupą, Mikołajem Grabowskim, Mają Kleczewską i Pawłem Miśkiewiczem.

• W 2016 r. zagrał główną rolę w filmie „Człowiek z magicznym pudełkiem” w reżyserii Bodo Koxa. W polskiej wersji serialu „The Office” wcielił się w Michała Holca, szefa fikcyjnej siedleckiej firmy Kropliczanka. Wystąpił także u boku Borysa Szyca w serialu „Warszawianka” na podstawie scenariusza Jakuba Żulczyka.

• Tworzył polski dubbing w wielu filmach. Jego głosem mówił m.in. Han Solo z „Gwiazdnych wojen” w najnowszej, poprawionej wersji

Nie byłem dobrym studentem. Jak ktoś próbował do mnie dotrzeć, to automatycznie miałem potrzebę zepsucia wszystkiego. Tak głupio, na złość

isa, a później zrealizowany z sukcesem w Stanach przyjął się także u nas.

– Moje życie się nie zmieniło. Ale też staram się, żeby się nie zmieniło. Lubię być na uboczu, siedzieć w domu, nawet nie jestem aktywny na Instagramie. Może teraz częściej zostaję rozpoznany na ulicy. Poza tym dzięki „The Office” nauczyłem się szybciej uczyć tekstu. Narzuciliśmy szybkie tempo. Cały sezon realizujemy w nieco ponad 30 dni zdjęciowych. Wychodzą ok. trzy dni na jeden odcinek. Naszym rekordem są 24 sceny zrealizowane w ciągu jednego dnia.

Jeszcze się nie zagryzacie na planie?

– Jesteśmy szalenie szczęśliwi, kiedy się spotykamy, choć nie nazwałbym tego rodziną, bo się nie kłócimy. Kilko aktorów znam jeszcze z czasów szkolnych – Janka Sobolewskiego, Marcina Pempusia czy Monikę Obarę. Moim ulubionym zajęciem między scenami jest rozbawianie Vanessy Aleksander, która jest czajnikiem – niewiele potrzeba, aby się zagotowała.

W jednym biurze spotykają się: zaciekle katolik konserwatysta, młoda kobieta z wielkomięskiej elity, stereotypowy dres, no i ekscentryczny szef Michał Holc, w którego się wcieliłeś. Ten serial miał być portretem współczesnej Polski?

– Na pewno taki był zamysł scenarzystów. Siedlce stanowią flagowy przykład mniejszego polskiego miasta. Darek, grany przez Adama Woronowicza, jest wujkiem wariatem, którego zna chyba większość z nas. Niektóre jego wypowiedzi są jakby wyjęte z TVP Info [rozmowa odbyła się przed przejściem kontroli nad TVP przez nowy obóz rządzący]. Wielu rzeczy nie wie i nie rozumie tylko dlatego, że nie chce ich poznać. Trudno jest mi się przyznać do tego, że miał złą filozofię życiową. Dlatego tkwi w swoich przekonaniach.

Mimo wszystko budzi sympatię.

– O to chodzi. Na co dzień zamykamy się w swoich bańkach. Nie mamy styczności z ludźmi o innych poglądach. Czujemy się odpychani przez drugą stronę, odczuwamy wrogość. A jeśli usiedlibyśmy z takim Darkiem przy piwie, to z pewnością do wielu rzeczy bylibyśmy go w stanie przekonać. Oddzielamy się od innych, bo tak jest łatwiej.

Osadziliśmy ten serial w mniejszym mieście, aby pokazać zwykłego człowieka. Siedząc na Mokotowie, jesteśmy przekonani, że wszystko wiemy lepiej. Oduczylismy się dialogu.

W trzecim sezonie ważny jest wymiar dydaktyczny. W pierwszym odcinku jeden z bohaterów oznajmia, że ma depresję. Michał Holc, chcąc go wesprzeć, mówi, że też ma depresję, choć jest to oczywiście bujda. Nie każdy ma w życiu do czynienia z tematem zdrowia psychicznego. I nie każdy wie, jak powinien się w takiej sytuacji zachować. Michał sobie myśli: „Depresja? Aha, to wystarczy tę osobę rozśmieszyć”. Ja też bym tak zareagował, gdybym nie miał żadnej wiedzy na ten temat. Na końcu odcinka po-

dajemy numery pomocowe dla osób z depresją.

Zdarza się, że jedziecie po bandzie. Miałeś podczas kręcenia zdjęć poczucie, że zrobiliście o jeden krok za daleko?

– Była jedna sytuacja, kiedy się zatrzymaliśmy i zaczęliśmy się zastanawiać, czy nie poszliśmy za daleko. Chodziło o odcinek o niebinarności, w której zagrała osoba niebinarna. W jednej ze scen Darek mówi: „OK. Ty jesteś niebinarny? To ja jestem koniem”. Osoba, o której była mowa, powiedziała, że ta scena jest OK. Ludzie przecież naprawdę używają takich argumentów.

Mam poczucie, że jesteśmy pewnego rodzaju wentylem. Wielu boi się odezwać na jakiś temat w obawie przed reakcją.

A ze Smoleńskiem nie przesadziliście? W jednym z odcinków Darek rekonstruuje „zamach”.

– Nie no, błagam, Smoleńsk zamienił się w żart. Stało się coś strasznego, ale otoczką wokół tej tragedii – teorie spiskowe, brzoza, strzały w trzeciej minucie – jest parodią samą w sobie.

Jakie podobieństwa widzisz pomiędzy Michałem Holcem i Andrzejem Dudą?

– Jest ich mnóstwo. W pierwszym sezonie odgrywamy słynny wywiad, w którym Andrzej Duda mówi o „byciu twardym”. Widziałem, jak pan prezydent otworzył się, chcąc powiedzieć coś szczerego i prawdziwego. A tak naprawdę nic nie powiedział.

W Michale w ogóle jest cały przekrój znanych polityków. Ostatnio słyshałem jakiś wywiad z Piotrem Glińskim, zastanawiałem się, czy on naprawdę wierzy w to, co mówi. To samo można powiedzieć o Michale.

Jest w nim niesamowita pewność siebie, upartość, przekonanie, że ma rację. Nawet jeśli czuje, że coś spieprzył, to nigdy nie zawróci i nie przeprosi. Brnie w ślepej uliczce.

Michał jest postacią trywialną, irytującą, ale jednocześnie tragiczną. Widz mu współczuje.

– To przekleństwo tego zawodu. Budując jakąś postać – nieważne, jak bardzo byłaby zła – staram się wytłumaczyć sobie jej zachowania. Zły człowiek nigdy nie powie przeciwieństwo o sobie: „Jestem złym człowiekiem”. Trudno jest mi wytłumaczyć słowa Janusza Korwina-Mikiego mówiącego np. o pedofilii. Ale z czegoś to wynika, że on tak mówi. Próbuję to sobie wytłumaczyć, choć oczywiście nie usprawiedliwiam.

Z biegiem serialu dowiadujemy się, że Michał Holc jest okropnie samotny. Jedynymi ludźmi w jego życiu są współpracownicy. W jednym z odcinków pokazujemy, że spędza święta samotnie. Robienie dobrej miny do złej gry jest jego obsesją.

Dostrzegam jeszcze jedno podobieństwo z prezydentem Dudą. Michał ma niesamowitą potrzebę bycia lubianym i akceptowanym. Miałem wrażenie, że po wybuchu wojny w Ukrainie ta potrzeba u prezydenta została zaspokojona. Cały świat docenia jego gesty solidarności z Ukrainą.

– Pamiętam, jak wygrał wybory prezydenckie po raz pierwszy. Prawie nic o nim nie wiedziałem. Ale po kilku jego wypowiedziach pomyślałem sobie, że on chyba nie zdaje sobie sprawy, jaka na nim będzie teraz ciężka odpowiedzialność. Każdego dnia docierają do niego setki raportów i informacji. Wiele sytuacji może go zjeść. Współczulem mu i tak po ludzku życzyłem powodzenia. Niektórych jego słów nie można jednak usprawiedliwić. ●